

A watercolor illustration of a woman in traditional Italian dress, likely from the book 'Wdowa z Pizy'. She is wearing a white long-sleeved blouse with a red and yellow striped bodice, a green skirt, and a yellow shawl. She has a pink headscarf and is holding a small bouquet of flowers. The background is a textured, light-colored wall.

PAUL HEYSE

---

**Wdowa z Pizy**

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska

PAUL HEYSE

## Wdowa z Pizy

TLUM. BERTOLD MERWIN

— Zdaje mi się, że pan zbyt pochlebnie ocenia kobiety włoskie.

— Jak to? — spytałem.

— Czytałem kilka nowel pańskich. Przyzna pan, że nie ma tyle Arrabbiat<sup>1</sup> i Gemm<sup>2</sup> na Południu, jak to pan usiłuje wmówić w uległego czytelnika. Prawdę powiedziawszy, są to twory pańskiej fantazji i studia na temat rzeczywistości.

— Na temat stworzeń boskich, a wątpię, czy Bóg jest zadowolony z mego opracowania swych tematów.

— Mniejsza z tym! Nie zaprzeczy pan jednak, że wyszukujesz z rozmysłem najlepsze egzemplarze i dlatego nie wolno panu żalić się, gdy zwą pana idealistą.

— Żalić się? Skądże? Towarzystwo to jest tak doborowe, że raduję się, gdy mnie w nim tolerują. Zwierzę się panu w zaufaniu, drogi sąsiedzie, że szkicować mogę tylko te postacie, które mnie czymś pociągają, zwłaszcza muszę być trochę zakochany w kobiecie, którą przedstawiam. Po cóż miałbym zresztą zajmować się w poezji tematem, który mnie odrzuca w powszednim życiu lub jest mi obojętny? Mnóstwo pisarzy maluje zło i brzydotę. Każdy robi to, co mu odpowiada.

— Piękne to, a nawet może słuszne. Nie znam się na tych sprawach. Słyszałem, że poezja ma odzwierciedlać życie, a życie ma przecież swą stronę odwrotną. Prawda wymaga światła i cienia. Czyż nie jest przeto obowiązkiem pańskim malować w imię prawdy również i mniej dodatnie postacie, których pełno w pięknej Italii?

— Oczywiście, wówczas gdy mi wypadnie pisać książkę o charakterze narodowym Włochów. Ale ja spisuję tylko opowieści. Jeśli wybieram strony świetlane, to wprowadzam tylko w błąd ludzi, którzy tego chcą. Zwróciłeś mi pan uwagę na sławetną odwrotną stronę, cóż tedy rozumiesz pan przez to miano?

— Hm... trudno to określić. Jeśli się nie mylę, pociąga pana u tych kobiet naturalna bezpośredniość, niesfalszowana pensjonarskim wychowaniem i nie hamowana szablonem, słowem, pierwotność, rdzenność charakteru.

— Tak jest! — dorzuciłem. — Przy tym szlachetność rasy i bogactwo jej podłoża, które sprawia, że można natury tak silne spokojniej pozostawić samym sobie niż zasadniczo słabsze i uboższe organizacje.

— Zgoda! Przyznam też, że namiętności posiadają tu pewien podniosły styl i najszaleńsze objawiają się w formie szlachetnej, tak że namiętność główna, a więc płciowa, nielicząca się z położeniem geograficznym, wypowiada się tutaj, przy całym swym komizmie, z pewnym patosem.

— Namiętność główna?

— Oczywiście! Mam na myśli gwałtowne pożądanie zdobycia mężczyzny! Śmieje się pan? Zaręczam, że przestałem się śmiać, od kiedy poczyniłem na ten temat głębsze studia.

— Rad bym posłyszeć!

— Opowiem panu tę przygodę, mimo że nie jest ona materiałem dla idealisty. Muszę tylko poprosić woźnicy naszego o ogień. *Un poco di fuoco, s'il vous plaît, monsieur!*<sup>3</sup>

Kobieta, Poezja

<sup>1</sup>Arrabbiata — tytułowa bohaterka noweli, zawartej w tomie *Wesele na Capri. Nowele włoskie*. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>Gemma — bohaterka noweli *Wiedźma z korsa*, zawartej w tomie *Wesele na Capri. Nowele włoskie*. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>*Un poco di fuoco, s'il vous plaît, monsieur!* (wł.,fr.) — Proszę pana o ogień, jeśli łaska! [przypis redakcyjny]

Rozmowę powyższą wiedliśmy pewnej pogodnej nocy letniej, siedząc w wielkim dyliżansie francuskim, ciągnionym po szerokiej drodze na Mont-Cenis<sup>4</sup> przez parę koni oraz czternaście mułów, biegnących drobnym truchtem. Chociaż niebo było wygwieżdzone, lekka tylko poświata słała się po dolinach, widnych z obu stron gościńca, obsadzonych wyniosłymi kasztanami, tak gęstymi, że musieliśmy zrezygnować z podziwiania krajobrazu. Nie sposób też było zasnąć na dobre, bo poganiacze mułów, biegnący obok zwierząt, strzelali z batów i pokrzykiwali ciągle, a niezliczone dzwonki brzęczały rozgłośnie.

Niemiecki powieściopisarz był rad z posiadania za towarzysza podróży na wysokości trzech tysięcy stóp nad morzem dobrotliwego krytyka, mimo że różnił się on odeń zapatrywaniem na sztukę. Przebyliśmy już razem spory szmat drogi z Turynu<sup>5</sup> do gór, ale milczeliśmy, każdy w swój kąt wciśnięty. Dopiero gdy wymieniono nazwiska przy obsadzaniu miejsc, przekonaliśmy się, że nie jesteśmy sobie całkiem obcy, i to nas zbliżyło.

— Czy zna pan Pizę<sup>6</sup>? — spytał sąsiad, zatliwszy cygaro od fajki Francuza.

Odrzekłem, że właśnie spędziłem niedawno w tym najcichszym ze wszystkich miast uniwersyteckich dwa tygodnie na studiach.

— A więc musi pan chyba znać osobiście lub ze słyszenia moją wdowę. Przechodziłeś pan zapewne nieraz szeroką ulicą, zwaną Borgo, i widziałeś dom o zielonych żaluzjach, a w takim razie słyszał pan na pewno dolatujący z pierwszego piętra donośny sopran, śpiewający duet z *Normy*<sup>7</sup>: *Ab sin' all'ore, all'ore estreme!*<sup>8</sup>

Zaprzeczyłem.

— Złóż pan gorące dzięki Stwórcy! — powiedział z głębokim westchnieniem, dobywającym się z uciśnionej piersi. — Wiedz pan, że głos ten stał się zgubą moją! Jestem, niestety, zgoła niemuzyczny, inaczej byłby mnie on odstraszył, miast przywabić. Nałaziłem się po rozmaitych brudnych mieszkaniach studenckich, szukając stancji<sup>9</sup>, i nie mogłem nic znaleźć, bo semestr się dawno zaczął i co lepsze było już wynajęte. Nagle ujrzałem na porządnym domu ogłoszenie i usłyszałem głos kobiecy, nucący na pierwszym piętrze. Pojmiesz pan, że nawet lepszemu ode mnie muzykusowi<sup>10</sup> wydałby się on głosem nieba. Ale muszę objaśnić, co mnie przywiodło do Pizy. Otóż, jak pan wie, jestem architektem. Mieszkam w małym, ciasnym reakcyjnym państewku i kocham z obowiązku tę ściślejszą ojczyznę swoją, a w stolicy posiadam, bez przechwałek, sławę jedyne go człowieka, umiejącego zbudować coś poza chlewem na ludzką trzodę lub wielopiętrowym kojcem. Może pan kiedy będzie w N. i zobaczy arsenał, który postawiłem. Siedzą tam pod kluczem nasze rodzime armaty, z paszczami zaszpuntowanymi<sup>11</sup>, by nie mogły strzelać poprzez granicę. Zjednało mi to wdzięczność rodaków, a nawet uznanie dostojnego naszego Serenissimusa<sup>12</sup> i jeśli mi wpadło do głowy otoczyć swe państwo murem podobnym do chińskiego, pewny być mogę, że poleci mi go wykonać. Na razie okazał mi w skromniejszych rozmiarach swą łaskę, wysyłając w naukowej misji do Italii. Trzeba panu wiedzieć, że pośrodku parku naszej stolicy stoi pochyla wieża, będąca wielką atrakcją miasta. Złośliwi twierdzą, że się sama pochylała, gdy staw na karpie, przytykający do zwyczajnej zrazu wieżyczki strażniczej, podmulił grunt. Opinia ta dotknęła srodze naszego władcę. Spytał mnie o zdanie, a ja okazałem się dyplomatą i odparłem, że nie mogę zdecydować i, nie znając Włoch, nie jestem w stanie ocenić, w jakim historycznym związku pozostaje nasza pochyla wieża do podobnych wież Pizy, Modeny<sup>13</sup>, Bolonii<sup>14</sup> i innych. Materiał dla należytej oceny naszego zabytku monumentalnej romantyki dać by mogło jedynie źródłowe zbadanie całej średniowiecznej architektury pochylej. Słowa moje odniosły skutek. Zaraz nazajutrz otrzymałem z kancelarii dworskiej polecenie odbycia na-

Artysta, Nauka, Miasto

<sup>4</sup>*Mont-Cenis* — przełęcz w głównym grzbiecie wododziałowym Alp Zachodnich, w Masywie Mont-Cenis. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>*Turyn* — miasto w pln.-zach. Włoszech, stolica regionu Piemont. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>*Piza* — miasto we Włoszech, w Toskanii. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>*Norma* — dwuaktowa opera tragiczna Vincenza Belliniego (1801–1835). [przypis edytorski]

<sup>8</sup>*Ab sin' all'ore, all'ore estreme!* (wł.) — Ach, aż do końca, do chwili ostatniej! [przypis redakcyjny]

<sup>9</sup>*stancja* — mieszkanie, odnajmowane uczniom lub studentom. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>*muzykus* (żart.) — muzyk. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>*zaszpuntować* — zatkać wylot. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>*Serenissimus* (wł.) — Najjaśniejszy. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>*Modena* — miasto i gmina w pln. Włoszech, w regionie Emilia-Romania. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>*Bolonia* — miasto w pln. Włoszech, stolica regionu Emilia-Romania. [przypis edytorski]

ukowej wycieczki do Włoch celem napisania obszernego dzieła na temat pochyłych wież Italii i Niemiec. Przystałem ochoczo, bo podróżować miałem na koszt państwa, a przy tym dopiero co zaręczyłem się i z trudnością by mi przyszło bez takiego rozkazu wyrwać się do ziemi obiecanej, którą poznać winien każdy artysta.

— Daruj pan — wtrąciłem — ale po tym wstępie pańskie argumenty, skierowane przeciw Włoszkom, straciły w mych oczach siłę dowodową. Niemiec, narzeczony, musi zajmować się tylko tym, co koślawe...

— I to z najwyższego rozkazu! — zawołał, wpadając mi w słowo. — Wyobraź pan sobie, upłynął rok, a to czas nie lada, przeto zarówno władca kraju, jak i władczyni mego serca musieli pogodzić się z tym, że w chwilach wolnych zajmują się także czymś, co piękne i proste zarazem. Ale proszę posłuchać, co mi się przydarzyło w Pizie. To miasto zachowałem sobie na koniec. Kampanilę<sup>15</sup> tumu<sup>16</sup> pizańskiego kazałem

schować aż na wety<sup>17</sup>,  
Gdy zjem już talerz zupy i oba kotlety!

Zamierzałem posiedzieć w Pizie ze cztery tygodnie i po sporządzeniu pomiarów napisać kilka rozdziałów dzieła, by prócz cyfr i szkiców móc przedstawić coś do czytania memu poczciwemu Serenissimosowi. Niestety, jak się rzekło, straciłem już nadzieję znalezienia przyzwoitego mieszkania, ale właśnie, gdy m znużony straszliwie pewnego upalnego dnia wałęsał się po Borgo, zobaczyłem kartkę z ogłoszeniem tuż pod oknem, skąd dolatywał śpiew niewieści.

Jak powiadają utalentowani pisarze, tygrysim skokiem rzuciłem się na schody, zapukałem i wyjawilem zasmolonemu kopcuszkowi w kuchni moje rozpaczliwe położenie. Kucharka zmierzyła mnie spojrzeniem od kapelusza do trzewików, potem zaś roześmiała się, potrząsając głową: — Nie... nie! — powiedziała. — Nie ma pokoju! — Jak to? — wrzasnąłem. — Wszakże kartka wyraźnie powiada, że na pierwszym piętrze! — Tak, ale nie *per gli uomini*<sup>18</sup> — zawyrokowała, zabierając się do zamykania drzwi. — Co? — zdziwiłem się. — Nie dla ludzi? Czyż cierpliwy Niemiec musi się dopiero zamienić w zwierzę, by dostać w Pizie pokój? — Cha, cha, cha — wybuchnęła śmiechem tak szczerym, że aż się chwiała na nogach. — To nie oznacza zwierzęcia. To znaczy, że nie wynajmuje się pokoju ludziom rodzaju męskiego! — Dodała, że pani jej jest nader obyczajną wdową i przyjmuje tylko kobiety. Zdecydowała się zresztą spytać i pozwoliła mi wejść. Przeprowadziła mnie, śmiejąc się ciągle, przez kuchnię do bardzo czystej komnaty, gdzie stało ogromne, czteroosobowe łóżko z baldachimem, stara komoda i kilka wyplatanych krzeseł. Oczy moje spoczęły jednak z największym upodobaniem na wielkim kwadratowym stole pośrodku pokoju, jakby stworzonym właśnie dla rysownika celem rozkładania rysownic i papierów. „Tu musisz zostać! — krzyknęło coś we mnie — choćbyś miał wyprzeć się swej płci i prząść len dla tej Omfali<sup>19</sup>”. Tymczasem umilkła muzyka i śpiew w sąsiednim pokoju, usłyszałem natomiast, że kucharka, chichocąc ciągle, opowiada sprawę swej pani. Zaledwo miałem czas skomponować wzruszającą przemowę, otwarły się drzwi i stanęła w nich moja wdowa w niezbyt czystym, ale obyczajnie aż pod uszy zapiętym szlafrocisku. Czarne włosy skręcone były w papiloty, a z miny jej wywnioskowałem zaraz, że wie już, o co chodzi. Nie mogę zaprzeczyć, że posiadała pewien wdzięk. Co prawda przejawiała niejaką skłonność do tuszy, nos miała wedle mnie nieco za krótki i perkaty, także cera utraciła dużo świeżości, ale jak na wdowę wydała się doskonale zakonserwowana, a oczy jej czarne i duże... no, znajdzie pan sam porównanie, bo wszakże jesteś poetą!

Jednakże wszystkie jej powaby, choćby mogły być uwiecznione na tytułowej karcie mego dzieła, nie tyle mnie pociągały, ile precudny ów stół, toteż nigdy w życiu nie byłem chyba tak wymowny i nigdy tak gorąco nie zwalczałem skrupułów niewieściej skromności.

<sup>15</sup>*kampanila* (archit.) — dzwonnica w formie wysmukłej wieży. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>*tum* (archit.) — średniowieczna nazwa katedry lub kolegiaty. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>*wety* (daw.) — słodki deser. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>*per gli uomini* (wł.) — tu: dla mężczyzn; po włosku *uomo* oznacza również człowieka, stąd nieporozumienie. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>*Omfala* a. *Omfale* (mit. gr.) — królowa Lidii, która występuje w mitach o Heraklesie; na jej rozkaz Herakles musiał nosić kobiece stroje i prząść. [przypis edytorski]

Oświadczyłem, że wprawdzie jestem niestety mężczyzną (*persona maschia*<sup>20</sup>... co za trafne wyrażenie, prawda?), ale posiadam w sobie tyle instynktów kobiecych, żem się w wieku chłopięcym uczył robić siatkę, a mistrzynią mą była pewna uroczą damę. Zaręczyłem, że nikt mnie w całej dzielnicy nie zobaczy pijanym, nie będę nawiązywał nieobyczajnych znajomości, a nawet, jeśli tego zażąda, wyrzeknę się palenia. Poza tym zapewniłem, że zapłacę z góry każdą cenę wynajmu.

Słuchała spokojnie, a wzruszające zakłęcia moje zdawały się czynić na niej wrażenie. Odrzekła po chwili, że osobiście nie ma nic przeciw temu, ale jest młodą wdową, a wuj, będący opiekunem jej dzieci, nie życzy sobie, by narażała swą sławę, wynajmując niezamieszkałe pokoje panom. Spytałem zaraz o adres owego mądrego starca, ale dowiedziałem się z przerażeniem, że wyjechał właśnie do Florencji<sup>21</sup>, przeto nie sposób wypróbować na nim mej sztuki przekonywania. — Przepadła tedy wszelka nadzieja? — zawołałem z tak szczerą rozpaczą (zerknąwszy przedtem na stół), że serce wdowy, niezbyt zresztą kamienne, zaczęło po trochu topnieć. Kazała mi zjawić się po południu, obiecując, że sprawę rozważy, i poleciła służącej Erminii, by mnie wyprowadziła. Potem skłoniła mi się jak księżna, odprawiająca łaskawie po audiencji ambasadora.

Nietrudno sobie wyobrazić, że z wielkim niepokojem wchłaniałem risotto w owej wzorowej *trattoria*<sup>22</sup> na Lungarno<sup>23</sup>, zwanej „Nettuno”, oraz żem wypił dwa razy tyle wina co zazwyczaj. Musiałem nabrać sił, by znieść to, o czym ze strachem tylko myślałem, mianowicie, że mimo tak wspaniałego stołu w Pizie mógłbym być zmuszony posługiwać się dalej nędznym rusztowaniem z krzesel, kijów i parasola.

Serce biło mi mocno, gdy wstępowałem około trzeciej ponownie po kamiennych stopniach, jak by nie szło o stół, rzecz martwą, ale o samą jego właścicielkę. Ukazała mi się ubrana w czarną suknię, z włosami pięknie ułożonymi i z dosyć uprzejmą miną. Nabrałem niejakej otuchy, toteż przeraziłem się potem niemało, gdy powiedziała, że wobec nieobecności wuja zasięgnęła porady ciotki, która to dama nie mogła zdecydować się na odpowiedzialność za krok tego rodzaju.

Młoda wdowa — powiedziała, spuszczać bardzo umiejętnie swe czarne oczy — w dodatku artystka, w latach kiedy nie można się wyrzec jeszcze szczęścia... Pojmiesz pan, są pewne względy, są obowiązki wobec rodziny... przy tym wuj mój pragnie, bym powtórnie wyszła za mąż... *Galantuomo*<sup>24</sup>, jakim pan jesteś, nie zechcę przecież nastawać na szczęście samotnej niewiasty...

— Przeciwnie! — zawołałem żywo, poglądając na uwodzicielski stół. — Przeciwnie, zachwycony cnotą i zaletami, rad bym dowieść, jak bardzo cenię jej skromność, jak podziwiam i czczę wszystko, co zdobi duszę pani! Tak, ma pani słuszność, zarówno jak czcigodny wujaszek i cioteczka. Istota taka jak pani posiada prawo do szczęścia. Ach, jakże współczuję z mężem, który taki skarb utracił. Jak dawno zmarł?

— Przed dziesięciu miesiącami! — odparła bez wielkiego wzruszenia — udał się do Neapolu<sup>25</sup>, wpadł w ręce brygantów<sup>26</sup> i nie wrócił już. Pokażę panu jego fotografię.

Poprzedzając mnie, poszła do sąsiedniego pokoju, nieco wystawniej urządzonego i będącego czymś niby salon. Był tu fortepian, eleganckie biurko, z pułapu zwisały pstro malowane klatki z ptakami, na ścianach widniały portrety znanych aktorów. W skromnych ramach, otoczony zakurzonym wieńcem wawrzynu, wisiał wizerunek poważnego mężczyzny w średnich latach, którego mi przedstawiła jako zmarłego męża. I tym razem nie wyczytałem w jej twarzy śladu wzruszenia. Kanarki darły się straszliwie, spod sofy wylały mały szpic i zaczął piskliwie szczekać, spoza drzwi dolatywał chichot kucharki, a nadobna dama mówiła przy tym całym rozgwarze o możliwości nowego szczęścia miłosnego. Usiedliśmy na sofie.

Wyraziłem zdumienie, że trwa przez całe dziesięć miesięcy we wdowieństwie, gdy winna by być otoczona konkurentami.

Mężczyzna, Kobieta, Miłość

<sup>20</sup>*persona maschia* (wł.) — osoba męska; *maschio* po włosku oznacza mężczyznę. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>Florencja — miasto w środkowych Włoszech, stolica Toskanii i prowincji Florencja. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>*trattoria* (wł.) — restauracja lub gospoda. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>Lungarno — ulice wzdłuż rzeki Arno. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>*galantuomo* (wł.) — poczciwy, szlachetny człowiek, džentelmen. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>Neapol — miasto w płd. Włoszech, w centrum Zatoki Neapolitańskiej; stolica regionu Kampania i prowincji Neapol. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>*brygant* (z wł. *brigante*) — rozbójnik, bandyta. [przypis edytorski]

— Jestem wybredna! — odparła. — Zbyt wiele zaznałam szczęścia z mym Carlem, by się narażać na zawód. Miałam kilku konkurentów, nie dalek jak przedwczoraj pewnego hrabiego, ale za młody jest dla mnie, bo liczy dopiero dziewiętnaście lat, gdy ja mam dwadzieścia trzy. Żal mi go było, co prawda, ale nie można przecież wychodzić za każdego, kto oszaleje z miłości!

— Oczywiście! — powiedziałem. — Cóż by pani zresztą poczęła z takim młokosem? Tylko człowiek dojrzały, znający życie, może ocenić panią i zastąpić jej poniekąd poniesioną stratę.

— Ach, ci mężczyźni! — westchnęła. — Wszyscy są egoistami. Młodzi tylko zdolni są podziwiać piękno i pożądać go. Starsi są oziębli i niezdolni dać szczęścia!

— Należałoby uczynić próbę! — rzekłam na poły naiwnie, na poły kusząco, bo zmiarkowałam już, jak sprawa stoi, i nabrałam pewności, że pod pewnymi warunkami ciocia cofnęłaby swe weto. Sytuacja wydała mi się komiczna, a poczułam ochotę, by grać dalej rozpoczętą farsę.

— Jakież jest imię twoje, piękna pani? — spytałem.

— Lukrecja! — rzekła, badając mnie oczyma.

— Nadobna Lukrecjo! — zawołałem — może jest to zrządzenie Opatrzności, że znalazłem się właśnie ja na tej kanapie! Włóczyłem się dużo (miałem na myśli wędrówkę po Pizie za mieszkaniem, ona zaś sądziła, że mówię o świecie), ale nie znalazłem nigdzie tego, czego szukałem. Dopiero w tym domu (tu zerknąłem znowu przez otwarte drzwi ku stołowi), tak, nadobna Lukrecjo, dopiero tu uczułem pragnienie, by zostać i podjąć rzecz poważną. Nie znamy się dotąd wzajemnie i nie sposób dziś zaraz decydować o przyszłości! *Chi va piano, va sano!*<sup>27</sup>

— Ale też *lontano!*<sup>28</sup> — dorzuciła. — Pan niebawem wyjedzie zapewne.

— Od pani wyłącznie zależy, jak długo będę oddychał powietrzem Pizy! — powiedziałem z beczelną dwuznacznością i równie zdradziecko załatwiłem pytanie, czy jestem żonaty, odpowiedzią, że nie, ale najwyżej pół roku jeszcze mam zamiar trwać w stanie kawalerskim. Wówczas przyznała mi się otwarcie, że ma czworo dzieci, para młodszych spędza zazwyczaj cały dzień u ciotki, zaś starsze mieszkają we Florencji, u matki nieboszczyka męża.

— Doskonale! — odrzekłem. — Mam nadzieję, że poznam niebawem te aniołki, a lubię ponad wszystko zwierzęta domowe, dzieci, psy i kanarki.

— Jest pan prawdziwym wyjątkiem! — zauważyła. — Mój Carlo omal nie wyskakiwał ze skóry na krzyk dzieci z towarzyszeniem ćwierkania ptaków oraz ćwiczeniem *solfeggiów*<sup>29</sup>, których nie zaniedbuję. Jest pan zapewne Anglikiem, bo upodobania pańskie są tak oryginalne.

— Jestem tylko Niemcem — powiedziałem — ale i u nas jest sporo ludzi pomyślonych lub takich, którzy gotowi są nimi zostać pod wpływem pięknych oczu kobiecych. Więc mogę chyba, łaskawa pani, dać polecenie, by przyniesiono moje rzeczy z hotelu?

Pytaniu temu towarzyszył pełen czci pocałunek, złożony na rękę pięknej wdowy, po czym wstałem i pożegnałem się tak prędko, jak to było możliwe bez narażenia się na katastrofę. Bowiem gdyby mi przedłożyła kontrakt najmu z warunkiem małżeństwa w pierwszym paragrafie, w proch by się rozpadły wszystkie moje fortele. Wetknąłem kucharce w rękę kilka franków, a w godzinę potem wkroczyłem wraz z całym mym dobytkiem triumfalnie do zdobytej fortecy.

W ciągu kilku pierwszych dni nie doznawałem żadnych skutków podstępów wojennego, nikt mi nie przeszkadzał, a sumienie nie wyrzucało mi niczego. Piękny wróg, wpędzony w pułapkę, poprzestawał na obserwowaniu z daleka. Musiała się przekonać, czy nie zrobiła złego interesu, i rozemnać, kim jest właściwie ów zgoła nieznany przyszły mąż. Niestety, śledztwo wypadło z dniem każdym bardziej na moją korzyść. Staralem się nawet o to. Nie mogła sobie piękna wdowa życzyć cichszego, cierpliwszego i pilniejszego następcy-małżonka, a chociaż były pewne niedomagania odnośnie czułości, to szły one na karb rycerskiej dyskrecji, narzucanej tak bliskim sąsiedztwem. Wróciwszy z pomiarów kampanii, stawałem u wiadomego stołu, wnosząc na mój rysunek uzyskane rezultaty.

<sup>27</sup> *Chi va piano, va sano!* (wł.) — Powoli, ale bezpiecznie! [przypis redakcyjny]

<sup>28</sup> *lontano* (wł.) — daleko, długo. [przypis redakcyjny]

<sup>29</sup> *solfeggio* a. *solfęż* — nauka i metoda czytania nut glosem. [przypis edytorski]

Ona tymczasem wykrzykiwała swe: *Ab sin' all'ore, all'ore estreme* lub inną wzruszającą arię, powtarzając ją bez końca. Po raz pierwszy w życiu dziękowałem Bogu za niewrażliwe na muzykę uszy, gdyż chroniło mnie to od wszelakich pokus. Parę razy wpuściła do pokoju dzieci, które straszliwie pomieszały me rysunki, ale i tę próbę przetrwałem mężnie, okupując się intruzom pomarańczami i cukierkami. Ile razy udałem się na przechadzkę po Lungarno, wmieszany w tłum studentów, obywateli pizańskich z rodzinami oraz modnisiów miejscowych, zawsze spotykałem tam moją piękną gosposię, kroczącą obok przyjaciółki swej, obyczajną, poważną i zawołowaną, mimo że, jak zauważyłem, miała sporo wielbicieli. Niejeden z nich pozazdrościłby mi pewnie na wieść, jak się wygodnie urządziłem. Kłaniałem jej się tylko z daleka i wracałem do domu dopiero w porze, kiedy już spała. Kładła się zresztą wcześniej, gdyż cierpiała na nieustanną nudę. Jak większość Włosek, nie posiadała żadnego wykształcenia i zdobyć się mogła co najwyżej na przeczytanie francuskiego romansu w przekładzie, toteż wszystko ustawało dla niej z chwilą, gdy nastal mrok, nie mogła siedzieć w oknie i dać się podziwiać.

Tydzień cały trwał ten stan tak bardzo odpowiadający mym pragnieniom, ów żywot rajski, gdzie wilk i jagnię trwali w iście anielskiej niewinności. Potem spostrzegłem, że jagnię dziwuje się mocno łagodności wilka, co więcej, zaczyna czuć obrazę z powodu, iż nie zostało dotąd pożarte mimo swej apetyczności. Odwrócił się też zaraz przyrodzony tok rzeczy i niewinny baranek wziął się do ataku na wilka. Przez kilka dni zadowalała się stawianiem bukietów na stole, potem znalazłem w miejscu mych mocno zdezelowanych pantofli przepyszne, ciepłe, tureckie, prawie nowe baćkory<sup>30</sup>, będące snadź dawniej własnością nieboszczyka, czyli pierwszego wilka. W południe zmuszony byłem zjawić się u stołu celem skosztowania frykanda z karczochów<sup>31</sup> i kompotu z dyni, rzekomo własnoręcznie przez *madonnę*<sup>32</sup> Lukrecję sporządzonych, oraz wypić z nią szklankę *chianti*<sup>33</sup>. Erminia jadła razem ze swą panią, karmiąc również dzieci. Raz po raz chichotała wesoło, a tylko piesek mruczał nieprzyjaźnie, uważając mnie widocznie za intruza, który zmniejsza ilość przeznaczonych dlań kąsków. Przy stole wiedliśmy górnolotne rozmowy na temat tokańskiej i niemieckiej sztuki kulinarnej, ja zaś posunąłem się aż do renegacji<sup>34</sup> kwaśnej kapusty na korzyść włoskich karczochów. To dało mej gosposi asumpt<sup>35</sup> do żywszego jeszcze ataku. Wyobraź sobie pan, co jej wpadło do głowy! Jednego ranka pracowałem na mej pochylej wieży, na najwyższym już piętrze, nie przypuszczając nic złego, gdy nagle usłyszałem znane dobrze: *Ab sin' all'ore, all'ore estreme*. Gospodyni moja szła mężnie po niezliczonych stopniach, śpiewając pełną piersią. Mowy nie było o ucieczce ani o ukryciu się za filarami. Do dziś nie wiem, co wówczas zamierzała.

Trudno przypuścić, by jako nader praktyczna Włoszka, przebaczyła pan, że ranię pański idealizm, chciała rzucić się z wieży sama lub wraz ze mną w razie odmowy formalnego przyrzeczenia małżeństwa. Może uczyniła to z nudów. Oczywiście, przybrałem wielce uradowaną minę, zacząłem robić honory wieży, że zaś byliśmy sami, uznałem za konieczne pocałować ją raz czy dwa razy w rękę. Wyglądała wcale dobrze, blada jej twarz zarumieniła się nieco ze zmęczenia, a czarne oczy lśniły żywym blaskiem, gdy spoglądała z wyżu na tum, baptysterium<sup>36</sup>, miasto i dalekie góry. Była naprawdę ponętym kąskiem, zwłaszcza dla Włocha, niemającego żadnych duchowych aspiracji. Powiedziałem jej mnóstwo pochlebnych słówek, które przyjęła z prawdziwą lubością po długim obojętnym traktowaniu z mej strony. Naturalnie zostałem nagrodzony kilku czułymi aluzjami i wielce obiecującymi spojrzeciami. Nie byłem jednak zmuszony wzywać dobrego ducha przez pocieranie mego zaręczynowego pierścienka, wiedziałem bowiem dobrze, że mimo przeróżnych miłosnych manewrów jestem jej tak obojętny jak marmurowy podest schodów, na którym stoi. Toteż po godzinie znaleźliśmy się oboje w najlepszym stanie na dole, na placu przed tumem.

Musiła uznać, że żelazo rozgrzało się już należycie, gdyż zaczęła je kuć niezwłocz-

Teatr, Muzyka

<sup>30</sup>*baćkory* (z węg.) — papucie. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>*frykando z karczochów* (wl. *fricandò di carciofi*) — włoska potrawa. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>*madonna* (wl.) — tu: pani, kobieta, moja pani. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>*chianti* — rodzaj włoskiego wina czerwonego, produkowanego w Toskanii. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>*renegacja* (daw.) — wyparcie się. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>*asumpti* (daw.) — powód, zachęta. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>*baptysterium* (archit.) — chrzcielnica, budowla przeznaczona do wykonywania obrzędu chrztu. [przypis edytorski]

nie. Tegoż jeszcze wieczoru zawlokła mnie ze sobą do jednego z teatrów, zda mi się, do tak zwanego „Politeama”<sup>37</sup>, pan go sobie pewnie przypomina. Daremnie się wzbraniałem z uwagi na kompromitację wobec ludzi, którzy by mogli coś podejrzewać, widząc nas we dwoje na publicznym widowisku.

— Sprawa posunęła się już tak daleko — odparła — że mnie pan już bardziej niż dotąd skompromitować nie może. A przecież i tak niedługo musi spaść zasłona.

„O tak! — rzekłem do siebie z westchnieniem. — Niebawem spadnie bielmo z oczu twoich. Biedne jagnię!” — po czym w heroicznym nastroju ruszyłem do teatru.

Pewny byłem, że zaaranżowała to z rozmysłem, chcąc mnie wobec ludzi skompromitować i przez to związać moralnie. Miała jednak jeszcze cel uboczny. Współczesna tragedia, jaką dawano, była dość nudna; w międzyaktach<sup>38</sup>, podczas których dama moja chrupała kandyzowane owoce, występował śpiewak, którego niezwykła postać zwróciła już dawniej na ulicy moją uwagę. Wałęsał się ciągle, przebrany w malowniczą, brunatną bluzę, bufiaste spodnie tejże barwy i szerokoskrzydły kapelusz, wciśnięty na czarne kędzierzawe włosy. Chodził uśmiechnięty na poły dobrodusznie, na poły ironicznie, w towarzystwie swej małej, szczupłej żony, której twarz miała wyraz skamieniałego cierpienia. Powiedziano mi, że jest to słynny niegdyś śpiewak Tobia Seresi, pyszny baryton<sup>39</sup>, który jednak zwariował i nie można go użyć w zespole operowym, gdyż miewa ataki szału, a te uśmierzyć potrafi tylko żona, kochająca go bardzo. Śpiewał po teatrach dla zarobku w międzyaktach, a żona czuwała stale za kulisami, bacząc pilnie na każdy jego gest czy minę.

Szaleniec, Szaleństwo

Ów Tobia Seresi śpiewał właśnie tegoż wieczoru i z jego to powodu Lukrecja zawiodła mnie do teatru. Ledwo przebrzmiały pierwsze takty arii, zwróciła się do mnie, siedzącego w głębi łoża, i opowiedziała szczegółowo, że ona to właśnie jest powodem nieszczęścia. Szał go ogarnął podczas miłosego duetu, który śpiewała wraz z nim przed sześciu laty w jakiejś operze, której tytułu zapomniała. Przycisnął ją mocno do siebie, jak wypadło z roli, i, przewracając oczyma, szepnął, że jeśli mu się nie odda, to siebie i ją otruje przyprawioną odpowiednio sałatką z ziemniaków. Ile było prawdy w tych bredniach, nie wiem, ale opowiadała jeszcze mnóstwo podobnych awantur, chcąc mi pokazać, jak niebezpieczną osobą była swego czasu. Słuchałem niezbyt uważnie, bacząc na śpiew, który, mimo że była sama artystką, na niej nie czynił jakoś żadnego wrażenia. Gdy skończył, rzuciła na scenę bukiet i zaczęła ostentacyjnie klaskać. Kilku amatorów przecisnęło się z parteru i podali Seresiemu ogromny jak koło wozu snop kwiatów. Przyjął go z ironicznym uśmiechem, a sala rozbrzmiała hucznym aplauzem. Publiczność lubiła bardzo biednego szaleńca i słyszałem na prawo i lewo wyrazy szczerzego żalu i współczucia dla niego. Tylko moja wdowa lornetowała nieszczęśnika z zimną krwią, wachlowała się nieustannie, a potem zaczęła na nowo pogryzać cukrowane płatki pomarańczy.

Wyznam panu, że uczułem dreszcz wobec tego mego zwycięstwa nad rywalem i rad byłem, że niebawem wstała i przyjęła me ramię. W drodze do domu miałem uczucie, że źle się dzieje ze mną, że moje położenie jest nader niepewne i że przewróciłbym się niechybnie, gdybym był pochyłą wieżą, nie zaś odpornym człowiekiem z krwi i kości. Nigdy nie zapomnę tego dnia! Wyobraź pan sobie, nie skończyło się na tym. Lukrecja postanowiła najwyraźniej doprowadzić wszystko między nami do końca i sprawę sfinalizować, wtajemniczyła mnie w swe stosunki majątkowe, wcale zresztą pomyślne, oraz opowiedziała przeróżne szczegóły szczęśliwego pożycia z pierwszym mężem, który ją zabrał ze sceny, porwany jej pięknnością, mimo że sam był kompozytorem i cenił wysoko jej głos. Czulem ucisk w sercu przez cały czas, toteż chcąc sobie ulżyć, zauważyłem żartobliwie, że ta okoliczność może stanowić przeszkodę, albowiem ustawiczne zawieje śnieżne w Niemczech niweczą głos południowców. Oświadczyła, że i tę ofiarę gotowa ponieść, dodając, że przecież małżeństwo jest to nieustanne ofiarowywanie się na ołtarzu miłości.

— Czyż jednak dziateczki pani zniosą surowy klimat? — spytałem.

Matka

I to jej nie sprawiało troski. Zarządziła, co trzeba. Młodsze wziąć miała do siebie ciotka, starsze zaś postanowiła zostawić we Florencji.

<sup>37</sup>Politeama Nazionale — słynny, historyczny teatr w Pizie. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>międzyakt (daw.) — przerwa między aktami sztuki. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>baryton — męski głos pośredni między tenorem a basem. [przypis edytorski]



— A to ślicznie! — zawołałem, dodając w duchu: „O ty, wyrodna matko!”.

Uśmiechała się tak triumfująco, że nie sposób mi było gniewać się, i nabrałem przekonania, iż zdecydowana jest na wszelką ostateczność, nawet na podanie zatrutej sałatki z ziemniaków, gdyby się dowiedziała o mych rzeczywistych planach.

W tej chwili udręki ducha zstąpiło na mnie objawienie zbawcze, jak mi się wydało.

— Piękna pani! — powiedziałem. — Rad bym wysświetlić pewien nader ważny punkt. Mąż pani dostał się w ręce brygantów i nie wrócił, prawda? Ale skądże pewność, że nie żyje? Cóż by się stało, gdyby pewnego dnia przybył z powrotem i zażądał swej własności lub skręcił mi po prostu kark w podzięcie za tak troskliwe opiekowanie się panią?

Tak rzekłem, siedząc wraz z nią na sofie w salonie pod portretem zmarłego kompozytora. Dodałem poza tym kilka trafnych uwag o niezbędności urzędowych dowodów śmierci oraz potworności dwużeństwa.

— Zaczekaj pan chwilę! — powiedziała spokojnie, wstała i wysunąwszy szufladę biurka dobyte z niej coś. Cóż to było? Nie uwierzysz pan chyba, a jednak mówię szczerą prawdę. Pokazała mi dwa dobrze zakorkowane słoiki, powleczone z wierzchu świńskim pęcherzem. W każdym mieściło się ucho ludzkie, odcięte czysto i umiejętnie od głowy ręką fachowca i zanurzone w spirytusie.

— *Ecco!*<sup>40</sup> — zawołała, podając mi te przedmioty, których ując drżącą ręką nie miałem odwagi. — To lepsze nad zwyczajne świadectwo skonu! Są to uszy mego Carla, poznałam je zaraz. Naprzód przysłał mi prawe ucho jeden jego przyjaciel z Neapolu, a ja musiałam wypłacić pięć tysięcy lirów<sup>41</sup> okupu. Niebawem otrzymałam drugie ucho i drugi list z wiadomością, że rozbójnicy wzięli wprawdzie pieniądze, ale tytułem pokwitowania wydali tylko drugie ucho. Co się stało z człowiekiem, który owe uszy nosił za życia, na razie nie wiadomo i muszę poczekać na skutki dalszych badań. Ładna propozycja? Nie, za nic nie mogłam czekać, nabrałam pewności, że mój drogi Carlo nie żyje. Miał uszy tak wrażliwe, że żadną miarą nie przeżyłby ich straty. Raczej dałby sobie odciąć nogi i ręce i żyłby dalej, ale uszy... o, nigdy! Carlo bez uszu to coś niepojętego!

— Musi to pani wiedzieć najlepiej — przyznałem — a jeśli te uszy są naprawdę własnością męża, to sądzę...

— To są jego uszy, równie pewnie, jak ten palec jest mój! — zapewniła, patrząc na słoiki z powagą uczonego, klasyfikującego naukowo nowy gatunek płazów, przysłany w spirytusie.

Ciarki mnie przeszły, ale powiedziałem w desperackiej obronie:

— Ta spuścizna nie wystarczy jednak sądom, które stanowczo domagają się ścisłych dowodów, zanim wykreślą kogoś z listy żyjących.

— W tym właśnie celu pojechał wuj do Florencji! — oświadczyła. — Zna kilku ministrów i ma nadzieję uzyskać legalne świadectwo. Mąż mój był osobistością dosyć znaną, a nagle jego zniknięcie wywołało sensację. Prawda musi wkrótce wyjść na wierzch.

Rzekłszy to, schowała do biurka cenne relikwie i usiadła do fortepianu, by oddziaływać jeszcze na mnie czarem tonów. Nie mogłem znieść dłuższej tortury. Wydało mi się, że mam przy sobie figurę woskową z automatem muzycznym ukrytym we wnętrzu. Włosy mi się zjeżyły na głowie, a gdy zaczęła swe okropne: *Ab sin' all'ore...* powiedziałem, że mam migrenę, i wybiegłem na ulicę jak oszalały.

Schroniłem się do mego kochanego „*Nettuno*”, ale nie mogłem nic przełknąć z wyciątkiem wina, które nie zdołało jednak wywołać u mnie stanu błogiej nieświadomości. Ciągle widziałem te dwa okropne słoiki, te czarne, zimne, skierowane na mnie oczy, i słyszałem dźwięki, dobywające się z wydrążonej piersi automatu. Uczulem, że nie sposób wytrzymać dłużej w tym domu. Ale jakież miałem szanse ucieczki? Wszakże ta straszna baba poruszyłaby niebo i ziemię celem wydobycia mnie z każdej kryjówki w mieście. Jaka

<sup>40</sup>*ecco* (wł.) — proszę, oto. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>*lir*, właśc. *lira* (wł.) — dawna waluta włoska. [przypis edytorski]

szkoda, że w Toskanii<sup>42</sup> nie ma Abruzzów<sup>43</sup>! Jakże chętnie oddałbym się w ręce brygantów pod warunkiem niewydania mnie za żaden okup!

Na koniec wyśmienite czerwone wino wywołało skutek. Uświadomiłem sobie, że muszę nie tylko uciec z domu, ale z miasta, mimo że moje studia kampanili domagały się jeszcze pewnej rewizji. Wielką trudność stanowiło przewiezienie mych rzeczy na kolej bez wzbudzenia podejrzeń. Rozpacz nasunęła mi pomysł, który panu zalecam na wypadek podobnej konieczności, a może go pan także zużytkować w którejś ze swych nowel lub komedii. Oto niezwłocznie kupiłem kufer i powierzyłem go opiece zacnego kelnera w „Nettuno”. Nazajutrz miał nastąpić ciąg dalszy kampanii.

Przedtem jednak narażony zostałem w nocy na nowe, groźne niebezpieczeństwo. Położyłem się, nie życząc wcale Lukrecji miłych snów, i zasnąłem, kołysany nadzieją bliskiego ocalenia. Nagle zbudziło mnie około północy szczekanie pieska i błysk światła. Zerwałem się i ujrzałem stojącą przy łóżku nadobną wdowę moją w odzieży przyzwoitej, co prawda, ale niezmiernie przypominającej koszulę lub podobny strój z *Lunatyczki*<sup>44</sup> czy *Fra Diavolo*<sup>45</sup>, w których to operach musiała występować. Włosy oblewały falą piękne jej ramiona, a twarz była wykrzywiona tragicznie.

— Cóż się stało, na Boga? — krzyknąłem.

— Ukazał mi się, jakim był za życia! — odparła. — Stoi jeszcze przy moim łóżku, tak że na poły martwa ze strachu nie mam odwagi wracać.

— Brednie! — powiedziałem ze złością. — Przyśniło się pani. Proszę iść spać i zostawić mnie w spokoju!

— Nie, nie — zawołała — musi pan sam zobaczyć! Przekona się pan, że to nie sen!

Chwyliła mnie za rękę i zaczęła błagać, brakło tylko tego, by śpiewała jak na scenie.

Dość miałem awantury, więc oświadczyłem:

— Dobrze! Wstanę i pójdę. Jeśli stoi naprawdę jako duch przy łóżku, jeśli go zobaczę, to z obowiązku rycerskiego zabronię mu imieniem pani wszelkich bezcelowych i niemiłych wizyt po nocy. Jeśli jednak ducha nie będzie, wówczas przykro mi bardzo, ale muszę zrezygnować z ręki pani, Lukrecjo, gdyż mam wrodzony wstręt do lunatyczek i wiołę do śmierci zostać bezzennym, niż pojąć somnambuliczkę!

Powiedziawszy to, uczyniłem gest wstania. Ale nie czekała na to. Potrząsnęła przecząco głową, pięknym ramieniem skinęła na dobranoc i bez dalszych wyjaśnień wyszła z pokoju.

Mimo złości zaśmiałem się głośno, potem zaś zasnąłem spokojnie i do rana nie doznałem przeszkody. Przygoda owa utwierdziła mnie oczywiście tym bardziej w postanowieniu wymknięcia się po cichu z domu wdowy, zwłaszcza że lada dzień miał wrócić wuj, a nie wiedziałem, czy mu o mnie nie pisała i czy ów czcigodny mąż nie zna, iżem strasznie skompromitował jego piękną siostrzenicę. Gdy dzień nastał, nie zdradzając się niczym rysowałem zrazu trochę, potem zaś, gdy się ulice ożywiły, wyszedłem jak zwykle z niewielką paczką pod pachą, niebudzącą podejrzeń, a zawierającą część bielizny. Zaniósłem to do „Nettuno”, gdzie nocował mój nowy kufer. W ten sposób przetransportowałem w ciągu ranka wszystkie rzeczy wraz z rysunkami i papierami, zamkniętymi w wielkim cylindrze z blachy. Pokój wyglądał jak zawsze, stał w nim pusty kufer, leżało trochę szkiców, parę pustych tek oraz drobne przybory na umywalni, które musiałem nieprzyjacielowi zostawić tytułem łupu wojennego. Przy łóżku stały również z najniewinniejszą miną tureckie pantofle nieboszczyka, a czynsz zapłacony był za miesiąc z góry.

Może sobie pan wyobrazić, z jakim upojeniem, z jakim poczuciem odzyskanej swobody pędziłem w kierunku La Spezia<sup>46</sup>, podobny zbrodniarzowi, skazanemu na dożywotnie męki słuchania *Ab sin' all'ore, all'ore estreme*, któremu udało się zemknąć szczęśliwie. Wsiadłem do wagonu i chociaż w innych warunkach nie byłbym w stanie przebiegać tak szybko przez urocze okolice tej części Italii, teraz jednak mknąłem z radością, pamiętny, że uciekając przed romansową wdową muszę się spieszyć. Późnym wieczorem znalazłem

<sup>42</sup>Toskania — kraina historyczna i region administracyjny w środkowych Włoszech, położony w Apeninach Północnych. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>Abruzzi, właśc. *Abruzzo* (wł.) a. *Abruzja* — górzysty region, leżący w centralnej części Półwyspu Apenińskiego, nad Morzem Adriatyckim. Tu prawdopodobnie metonimia dzikiego terenu, w którym grasują zbójcy. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>*Lunatyczka* — opera Vincenza Belliniego (1801–1835). [przypis edytorski]

<sup>45</sup>*Fra Diavolo* — opera Daniela Aubera (1782–1871). [przypis edytorski]

<sup>46</sup>*La Spezia* — miasto i gmina we Włoszech, w regionie Liguria. [przypis edytorski]

się w Specji i stanąłem w hotelu „Croce di Malta”. Czułem się bezpieczny, podjadłem tedy, popiłem i położyłem się spać z lekkim sercem. W pokoiku moim stał maleńki stół, ale to właśnie pociągało mnie i nie mogłem bez drżenia wspomnieć o olbrzymie, który mnie zwał w zdradną sieć mej Armidy<sup>47</sup>. Od kilku tygodni nie zbudziłem się tak wesoły jak tego ranka, że zaś pogoda była cudna, lśniło czerwone słońce, a morze leżało cicho niby zwierciadło, postanowiłem odbyć wycieczkę do Portovenere<sup>48</sup>, zapadłego osiedla rybacko-pirackiego, o którym nasłuchałem się różnych rzeczy w Rzymie<sup>49</sup>. Wiatr był słaby, ale przeciwny, przeto stary wioślarz napracował się tego przez dwie godziny, zanim okrążyliśmy skalisty przylądek i ujrzeli przed sobą grupę na poły rozwalonych domostw, malowniczy kościółek i opromienioną słońcem wyspę Palmaria<sup>50</sup>. Zwiedził pan zapewne ów przecudny zakątek. W istocie doznaje się tu wrażenia, iż znajdujemy się znacznie dalej na południu, gdzieś pod Palermo<sup>51</sup>, pośród skalistych osiedli potomków kolonistów greckich, żyjących tu jak za czasów homeryckich<sup>52</sup> w szczęsnej beztrosce. Takie same postacie ludzi, taka sama przedpotopowa kuchnia oraz prastary brud, skamieniały, zda się, i niebosiężny. Oczom własnym wierzyć nie chciałem, wlokąc się pod górę jedyną ulicą wioski i mijając szeregi kobiet w koszulach tylko niemal, siedzących pod domami, zajętych przedzeniem, śpiewem lub paplaniną. Patrzyły na mnie jak na dziwotwora, wyrzuconego przez fale morskie. Panoszyła się tu przedziwna roślinność, słynne aloesy obsiadły rozpadliny murów fortecznych, a wszędzie pełno było kaktusów, winorośli, oliwek, zaś z położonych poza domami ogrodów wychylały się korony figowców, przeciążonych owocem. Po miesięcznym pobycie w schłodnej Toskanii doskonale robi powrót do tego raju, gdzie nie powstała nigdy miotła czcigodnej policji. Z rozkoszą włóczyłem się wszędzie, patrzyłem na puste luki okienne starego kościoła, stojącego na cyplu skalnym, oplukiwanym falą, kładłem się w zeschłej trawie w cieniu murów i siałem spojrzenie w dal ponad białe dachy na zatokę, gdzie ustawicznie krążyły okręty. Wszystko pozostało tu takie jak przed tysiącem lat, z wyjątkiem dymu parowców, bijącego w niebo, a wrażenie było tak silne, iż zapomniałem o terażniejszości, cała moja przygoda wydała mi się czymś niezmiernie dawnym, a chwilami nie mogłem sobie nawet przypomnieć imienia mej wdowy.

Wreszcie poczułem głód i zawróciłem do wioski, a pochodziwszy tam i z powrotem przed dwoma domami, na których widniał napis: *Albergo*<sup>53</sup> *e*<sup>54</sup> *trattoria*, zdecydowałem się wejść do jednego, pod którym piemontczy<sup>55</sup> żołnierze pili lemoniadę i grali w karty. Wnętrze miało wygląd iście cygański, ale uprzejma gospodyni wskazała mi schody do salonu i obiecała podać za pięć minut jedzenie. Czekaając, oglądałem wiszące na ścianach obrazy, podczas gdy młoda, milcząca dziewczyna nakrywała stół. Było tu kilka francuskich sztychów z *Paula i Wirginii*<sup>56</sup>, Madonna z naklejonym sercem ze złoconego papieru oraz włoscy narodowi święci, Cavour<sup>57</sup>, Garibaldi<sup>58</sup> i król Galantuomo<sup>59</sup>. Salka miała z lewej strony drzwi. Nie zdając sobie sprawy, dlaczego to robię, ująłem klamkę, ale gospodyni, która weszła w tej chwili, uczyniła gest ostrzegawczy, a wyraz jej twarzy zdradzał jednocześnie przerażenie i niechęć. Usprawiedliwiłem się chęcią zobaczenia, czy nie ma tam pokoju, w którym bym mógł przenocować, ale odrzekła żywo, że inne pokoje są zamiesz-

<sup>47</sup>*Armida* — piękna, lecz niebezpieczna czarodziejka z *Jerozolimy wyzwolonej* Torquata Tassa (1544–1595). [przypis redakcyjny]

<sup>48</sup>*Portovenere* — miejscowość i gmina we Włoszech, w regionie Liguria. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>*Rzym* — stolica i największe miasto Włoch, położone w środkowej części kraju nad rzeką Tyber i Morzem Śródziemnym. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>*Palmaria* — włoska wyspa leżąca na Morzu Liguryjskim. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>*Palermo* — miasto i gmina we Włoszech, stolica regionu Sycylia. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>*Homer* — starogrecki pieśniarz wędrowny, śpiewak i recytator, uważany za ojca poezji epickiej. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>*albergo* (wł.) — hotel. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>*e* (wł.) — i. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>*Piemont* — kraina historyczna i region administracyjny w płn.-zach. Włoszech. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>*Paweł i Wirginia* — utwór Jacques'a-Henriego Bernardina de Saint-Pierre (1737–1814), opublikowany w 1788 roku. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>*Cavour, Camillo di* (1810–1861) — włoski polityk, premier Sardynii i Włoch oraz minister spraw zagranicznych Włoch. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>*Garibaldi, Giuseppe* (1807–1882) — włoski rewolucjonista, żołnierz i polityk, działacz i bojownik na rzecz zjednoczenia Włoch. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>*król Galantuomo* — król włoski Wiktor Emanuel II (1820–1878). [przypis redakcyjny]

kane. Nie zmartwiło mnie to wcale, gdyż myśl nocowania w tej brudnej oberży nie była ponętna. Siadłem do stołu i przekonałem się, że jedzenie było znośniejsze, niż sądziłem, z wyjątkiem skamieniałego wprost kotleta i zjełczałego oleju, którym oblała groch. Ale dostałem kilka smakowitych smażonych rybek oraz wcale dobre wino, którym uraczyłem się po znojnym dniu, zasypiając na krześle, zanim jeszcze przyniesiono mi na deser suche figi i twarde jak kość biszkopty.

Jedzenie

Drzemałem dobre parę godzin w cichej stancji, gdy nagle zbudziło mnie dziwne brzęczenie w pobliżu. Otworzyłem oczy, nie ruszając się, i słuchałem. Było to granie na starym klawicymbale<sup>60</sup>, a dochodziło z pokoju, dokąd mi gospodyni zabroniła wstępu.

Spotkanie

Trudno mi chyba wziąć za złe, że rozciekawiony zbliżyłem się na palcach i spojrziałem przez dziurkę od klucza. Prawo to przysługuje nie tylko wam, nowelistom, ale i nam, porządnym ludziom, którzy by inaczej nie mieli powodu podróżować. Jakże dobrze czyniłem podglądając. Z muzyki nic się nie dowiedziałem. Zachrypyły męski głos nucił różne fragmenty tekstu operowego, z których rozumiałem tylko często stosowane okrzyki: *Deh perfida! Ah barbaro! Come? Tiranna! O dio! Strappami il cuor dal seno...*<sup>61</sup> i tak dalej. Prastary instrument stał przy przeciwległej ścianie, tak że śpiewak obrócony był tyłem. Po chwili jednak zaczął szukać czegoś w stosie nut, leżącym na łóżku, i ujrzałem jego profil. Zgadnij pan, kto to był?

— Chyba nie szalony baryton Tobia Seresi? — rzekłem.

— Ktoś jeszcze szaleńszy! Poznałem człowieka, w którego obecność nie uwierzyłbym, gdybym go nie widział na własne oczy. Był to *signor*<sup>62</sup> Carlo, mąż mojej wdowy!

— Niepodobna! — powiedziałem. — Wino Portovenere musiało wywołać ową wizję lub może wszystko było snem nocy letniej.

— Myli się pan! — zaręczył. — Proszę słuchać dalej. Sam myślałem zrazu, że się ludzę. Ale, badając szczegółowo, rozpoznałem najwyraźniej rysy mężczyzny z portretu nad sofą Lukrecji.

— A uszy? — spytałem.

— Uszu nie było widać. Włosy miał snadź<sup>63</sup> od całych miesięcy niestrzyżone, zwisały mu bowiem aż na ramiona. Musiałem trącić drzwi, gdyż nagle obrócił się ku mnie i spytał:

— Czy to pani, Beatrycze?

Tak było na imię gospodyni.

Wobec tego, żem się zdradził, postanowiłem do reszty sprawę wyświecić i krzyknąłem przez dziurkę, że nie jestem Beatryczą, ale przyjacielem, który pragnie z nim zamienić kilka słów. Wymieniłem jego imię i nazwisko i zauważyłem, że się przeraził i dumiał przez chwilę, czy ma się przyznać do swej identyczności. Nie było jednak rady, gdyż wykryto jego leże, przeto wstał i otworzył. Nie zapomnę spojrzenia, jakim mnie zmierzył. Tak patrzeć musiał Łazarz<sup>64</sup>, wstawszy z grobu.

— Drogi *sor*<sup>65</sup> Carlo! — rzekłem. — Cóż pan wyrabiasz? Czemu udajesz zmarłego i kryjesz się żywcem w tej norze, podczas gdy cała Piza rozbija się za panem, a nieszczęsna wdowa desperuje po dniach i nocach, przemyśliwając nad tym, jak by...

Tu wpadł mi na szczęście w słowo, gdyż inaczej byłbym przedstawił Lukrecję w zgoła fałszywym świetle.

— Jaka wdowa? — spytał. — Czy żona moja nie wie, gdzie jestem?

Opowiedziałem mu, nie wspominając oczywiście ani słowem o moich czułych stonkach z Lukrecją, wszystko, co się przydarzyło w Pizie. Wyznałem, żem mieszkał w jego domu i byłem świadkiem desperacji nieszczęsnej opuszczonej kobiety. Gdy posłyszał o dwu fatalnych słoikach z relikwiami, popadł w straszliwe wzburzenie.

— To coś strasznego! — wrzasnął, targając się za włosy, przy czym zobaczyłem, że posiada nienaruszone uszy. — Zostałem haniebnie oszukany! Odegrałem fatalną rolę w farsie, co mnie ośmiesz na zawsze!

<sup>60</sup>*klawicymbal* (daw.) — klawesyn. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>*Deh perfida! Ah barbaro! Come? Tiranna! O dio! Strappami il cuor dal seno...* (wł.) — O nikczemna! Ach barbarzyńco! Jak to? Okrutnica! O Boże! Wyrwij mi serce z piersi... [przypis edytorski]

<sup>62</sup>*signor* (wł.) — pan. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>*snadz* (daw.) — zapewne, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>*Łazarz* (rel.) — bohater biblijny, wskrzeszony przez Chrystusa. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>*sor* (wł.) — pan. [przypis edytorski]

Krzyczał, miotał się po stacyjce i długo trwało, zanim uspokoił się na tyle, by mógł sięść na łóżku i opowiedzieć mi wszystko po kolei.

Uważając mnie za przyjaciela domu — nie byłem nim, na szczęście, w tym najzuchwalszym znaczeniu, nie ukrywał niczego i wkrótce poznałem całą historię jego miłości, małżeństwa i cierpienia. Poznał swą żonę na scenie i zakochał się w jej piękności, nienawidząc jednocześnie jej głosu. Śpiewała bowiem tak strasznie fałszywie, że dręczyła tym jego uszy, rozkoszując jednocześnie swą postacią oczy. Oświadczył nawet, że biedny Tobiasz Seresi dlatego oszalał, iż musiał przez cały sezon zimowy śpiewać z nią duety. W tych warunkach *sor Carlo* nie miał innej rady, jak tylko ożenić się i zabrać *Lukrecję* ze sceny. Ale przeraźliwego upodobania w śpiewie nie straciła nawet zostawszy gospodynią domu i matką. Lubowała się ponadto w hałaśliwych zwierzętach domowych, wrzasku dzieci, rozgwarze ulicznym, słowem, we wszelakim tumultcie, toteż nerwy biednego męża roztrzęły się niebawem tak, że nie mogło być mowy o komponowaniu. Starał się być dobry i wyrozumiały, ale słuch jego stał się do tego stopnia przewrażliwiony, że nawet kichanie żony wydawało mu się fałszywe, a trzewiki jej skrzypiały jakby o ćwierć tonu za wysoko. Postanowił wyjechać do Neapolu na wypoczynek i tutaj przyszedł rychło do siebie. Mieszkał w domu swego przyjaciela, lekarza, i oddawał się ulubionym zajęciom. Zdarzyło się też, że pewien młody poeta napisał tekst operowy po jego myśli i zaświtała mu nadzieja, że po kilku miesiącach pracy dokona dzieła, które go uczyni od razu sławnym w całej Italii. Zaczęły jednak nadchodzić coraz to gwałtowniejsze listy. *Lukrecja* zapewniała, że porzuci wszystko, dom i dzieci, i przybędzie do swego umiłowanego *Carla*. Wyznał z westchnieniem, że było to całkiem możliwe, gdyż zazdrość stanowiła uzupełnienie rozlicznych jej zalet duchowych. W tej opresji zasięgnął rady przyjaciela, któremu bardzo leżała na sercu sława jego, a ten wziął sprawę w swe ręce, zaręczając, że będzie miał spokój aż do końca zamierzonej pracy. Musiał przyobiecać, że nie napisze do niej ani nie pokaże się komuś, kto by mógł ją o nim ustnie zawiadomić. Przyjacielska rada wydała się kompozytorowi wyśmienita, oddał się więc pracy, wiedząc zresztą, że rodzinie jego dobrze się powodzi. Zimą spędził w cichym domku pod *Amalfi*<sup>66</sup> i tam ukończył szkic opery. Przyjaciel lekarz zaopatrywał go w pieniądze i donosił co miesiąc, że żona i dzieci mają się dobrze i zasyłają pozdrowienia. Gdy jednak przyszło pisać partyturę, nie mógł się obejść bez fortepianu, wyjechał więc z *Amalfi* i po krótkim pobycie w Neapolu ruszył do *Portovenere*, dokąd mu przywieziono stary klawicymbał ze *Specji*. Tutaj pracuje spokojnie od pięciu miesięcy. Tydzień jeszcze, a ukończyłby instrumentację ostatniego aktu, aż tu nagle dowiaduje się, że przyjaciel w najnikczemniejszy sposób zdradził jego zaufanie, inscenizując farsę, która uczyni zeń niewątpliwie pośmiewisko całej Italii, i to w chwili, kiedy staje u progu sławy.

— Niech się pan uspokoi! — powiedziałem, tłumiąc z trudem śmiech. — Nic jeszcze nie jest stracone. Mało kto wie dotąd o owych nieszczęsnych uszach, które przyjaciel pański musiał obciąć zapewne jakimś nieboszczykowi podczas sekcji, bowiem niepo cieszona wdowa pańska pokazywała je tylko zaufanym. Cóż w tym zresztą śmiesznego, że szczęśliwy ojciec rodziny usuwa się przed krzykiem dzieci i zwierząt domowych w ciche ustronie celem dokonania wielkiego dzieła? Co prawda, czas już najwyższy wracać, gdyż koło pięknej żony pańskiej kręca się liczni wielbiciele, niby wokoło śp. *Penelopy*<sup>67</sup>, i jeśli pan będziesz dłużej nieboszczykiem...

— Panie! — krzyknął, chwytając mą dłoń. — Co pan masz na myśli?

— Nic złego, nic, co by dotyczyło honoru pańskiego. Cała *Piza* wielbi zachowanie się pańskiej żony i nie krąży o niej ani jedna pogłoska, a przypadkowe wynajęcie mi pokoju w niczym nie narusza jej uczciwości. Mam w Niemczech narzeczoną i zapewniam najświęciej, że nic mi w *Pizie* nie było obojętniejsze nad kobiety.

Spojrzał na mnie przenikliwie, tak że nabrałem pewności, iż nie wygasła w nim dotąd namiętność dla pięknej *Lukrecji*. Gdy mu w końcu opowiedział o mym dziele na temat architektury pochyłej, uspokoił się do reszty, przekonany, że jestem ostatecznym głupcem.

<sup>66</sup>*Amalfi* — miejscowość i gmina we Włoszech, w regionie Kampania. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>*Penelopa* (mit. gr.) — żona *Odyseusza*, matka *Telemacha*, wzór wiernej żony. [przypis edytorski]

— Wierzę panu! — rzekł. — Ale cóż mam uczynić? Poradz mi pan! Przez całe życie byłem niepraktyczny i żyłem tylko moją sztuką.

— Wie pan co? — odparłem. — Najlepiej będzie, jeśli wrócę do Pizy i przysposobię pańską żonę, inaczej bowiem pańskie niespodziewane zjawienie się mogłoby przyprawić o śmierć ze strachu jej wrażliwą duszę. Dostałaby co najmniej gorączki nerwowej. Pan tymczasem zapakuje swą operę i przyjedzie nazajutrz rano.

Rada ta wydała się najlepsza pocziwcowi, który siedział zupełnie oszołomiony na łóżku. Rozstaliśmy się, zapłaciłem obiad i ruszyłem na dół wąską, ciemną już uliczką. Teraz dopiero mogłem uśmieć się do woli i nacieszyć głęboką treścią tej dziecinnej farsy. Im dłużej rozmyślałem, tym lepiej pojmowałem znawstwo ludzi owego neapolitańczyka. Wiedział on, podobnie jak i ja, że żaden łagodniejszy środek nie byłby zmusił nadobnej Lukrecji do czekania na swego Carla przez ciąg dziesięciu miesięcy. Delektowałem się też z góry myślą, że wrócę do mego pokoju w Pizie jako człowiek wolny, nieobawiający się, że go *Sin' all'ore, all'ore estreme* w cieniu pochyłej wieży zmusi do stworzenia uroczej gospodyni „nowego szczęścia”.

Ale cóż się stało! Minąłem właśnie rozwaloną bramę i miałem skrócić ku przystani celem odszukania mego starego przewoźnika, gdy nagle zobaczyłem zawołowaną damę, zbliżającą się ku mnie szybko z okrzykiem na ustach. Nie zważałem na to, mając głowę czym innym nabitą, i minąłem ją szybko. Nagle dama chwyciła me ramię, odsłoniła welon i zawołała tonem oburzenia moralnego:

— Ha, zdrajco! Czyż i teraz chcesz uciec przede mną?

Pojmie pan, jak się przeraziłem.

— Lukrecjo! — wykrzyknąłem, nie mogąc rzec nic ponadto, i uświadomiłem sobie, jak dalece pogorszyła swą sytuację niespodziewanym przybyciem. Pomyśl pan tylko, szalona niewiasta ruszyła za mną w pogoń, chcąc przychwycić żywego czy martwego, na lądzie lub morzu. — Na miłość boską! — zawołałem po chwili. — Co czynisz, Lukrecjo?

— O Fernando! — odparła z dostojnym gestem. — Chronię się do ciebie przed ludzkim prześladowaniem. Wuj wrócił z Florencji i wpadł w taką złość, że poprzysiął uśmiercić cię za to, żeś się wśliznął do mego domu, oczywiście, o ile nie oczyścisz mego honoru w sposób przystojny i należyty. Daremnie go ciotka uspokajała, chciał cię ścigać, żądać zadośćuczynienia albo zastrzelić jak zbója czy mordercę. Cóż miałam czynić, nieszczęsna? Łzami i zakłęciami wyblągałam trzydniową zwłokę, a głos wewnętrzny powiedział mi, że pana odnajdę i zapobiegnę złemu. Dowiedziałam się w „Nettuno”, że pan wyjechał do Specji, tam zaś widziano, jak płynął do Portovenere.

— Przybywasz pani w sam czas! — odparłem. — Oszczędza mi to drogi, bo właśnie miałem wracać celem zawiadomienia, że wdowieństwo pani skończone!

— Doprawdy? Tedy wszystko dobrze i możemy siadać zaraz do łódki! Wiedziałam dobrze, że nie zechce pan tak strasznie kompromitować samotnej kobiety.

— Za pozwoleniem — rzekłem. — Nie skończyłem jeszcze. Oto zmarli wstają czasem z grobu. Nieboszczyk mąż siedzi tam oto w gospodzie i zasyła przeze mnie pozdrowienia. Jest zdrów i cały, posiada też swe uszy, które pani pewnie odtąd nieco łagodniej raczysz traktować.

Teraz ona zdębiała. Patrzyła na mnie, jak bym jej opowiadał baśń z *Tysiąca i jednej nocy*<sup>68</sup>, ja zaś zawiadomiłem ją o wszystkim pokrótce.

— Dla przekonania pani — dodałem w końcu — że mam dobre zamiary, dam pani radę, która wszystko świetnie wyrówna. Musi pani udać się zaraz do swego nieboszczyka i powiedzieć, że pani przybyła skutkiem pogłoski o jego pobycie w Portovenere. Zaczny człek, który, mimo pewnych mankamentów, kocha panią, Lukrecjo, ślepo, nie będzie zbyt ściśle badał sprawy, a kilka słów skierowanych do wuja doprowadzi tego męża do równowagi. Jeśli boi się pani plotek sąsiadów, to możecie z mężem odbyć małą wycieczkę po Riwierze<sup>69</sup> i wrócić, gdy wszystko umilknie. Oczywiście mojej dyskrecji może pani być pewna, gdyż zachowam dozoną wdzięczność za to, żeś mnie raczyła uznać godnym stworzenia „drugiego szczęścia” swego.

<sup>68</sup>*Tysiąc i jedna noc* a. *Baśnie z tysiąca i jednej nocy* — zbiór baśni, podań, legend, anegdot i opowieści, spisanych w języku średnioarabskim, pochodzących z IX–X wieku. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>*Riwiera Włoska* — wybrzeże Morza Liguryjskiego we Włoszech. [przypis edytorski]

Przez cały ciąg tej długiej mowy bawiłem się wrażeniami, jakie malowały się na jej twarzy, najcięższy jednak był lodowaty chłód, okazany mi w chwili, gdy pojęła, że trafna rada moja zwalnia ją z obawy o skutki całej przygody.

— *Va bene*<sup>70</sup> — rzuciła półgłosem. — Życzę panu szczęśliwej podróży!

Skinęła głową na pożegnanie łaskawie, niby nieznanemu przechodniowi, którego pytała o drogę, i, nasunawszy welon, ruszyła majestatycznie ulicą pod górę celem czułego powitania męża. Nie wątpię, że scena ta wypaść musiała wspaniale i że go okłamała z zupełną swobodą i ukontentowaniem. Ach, te kobiety! Nigdy nie są mądrzejsze, straszliwsze, bardziej pomysłowe i ponętne, niż wówczas, gdy mają coś na sumieniu!

— Oto moja przygoda z wdową z Pizy! — zamknął swą opowieść sąsiad i zapalił świeże cygaro. — Cóż pan na to? Czy nie zrobisz z tego noweli?

— Broń Boże! — wykrzyknąłem. — Okropnie bym się skompromitował! Któż spośród czytelników niemieckich dałby wiarę tym szaleństwom?

— To prawda! — odparł. — Aleś pan sam temu winien, bo szerzysz opinię, że kobiety spoza Alp<sup>71</sup> (przebyliśmy właśnie grzbiet Cenis i zjeżdżaliśmy ku Sabaudii<sup>72</sup>) ulepione są ze zgoła innego materiału i różnią się wielce od pięknych cór niemieckiej ojczyzny. Czyż historia ta nie mogłaby się zdarzyć również w Niemczech?

— Co? — zawołałem zdumiony. — Czy myśli pan to na serio?

— Tak jest! — powiedział z powagą. — Oczywiście, z wyjątkiem epizodu o obciętych uszach. Żyjemy, Bogu dzięki, w państwie prawno-politycznym, a rzeźmieszczy nasze obcinają co najwyżej mieszkki i warkoczki. Co się jednak tyczy wdów, to sądzę...

W tej chwili dylżans stanął przed budynkiem stacyjnym, a filiżanka kawy przeszkodziła dalszej rozmowie, która zaczęła właśnie zbaczać na tory wielce nieprzystojne.

---

<sup>70</sup>*va bene* (wł.) — dobrze, zgoda. [przypis redakcyjny]

<sup>71</sup>*Alpy* — najwyższy łańcuch górski Europy, ciągnący się od Morza Śródziemnego w okolicy Savony po dolinę Dunaju w okolicach Wiednia. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>*Sabaudia* — kraina historyczna w pld.-wsch. Francji, we francuskich Alpach, przy granicy ze Szwajcarią i Włochami. [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/heyse-wdowa-z-pizy/>

Tekst opracowany na podstawie: Paul Heyse, *Wesele na Capri*. Nowele włoskie, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1959.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec-Gryz, Elżbieta Sekuła, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: *Włoszka z Procidy koło Neapolu*, Tytus Maleszewski (1827-1898), domena publiczna

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przełącz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przełącz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).